Laura Bellini

W samym środku ciszy

Pamięć o dawnej miłości nie zamyka serca na nową



W samym środku ciszy

Pamięć o dawnej miłości nie zamyka serca na nową

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384902608

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki, których nie zapisano 11
Rozdział 2 - Przestrzeń między dwojgiem ludzi 22
Rozdział 3 - To, czego nie da się zaplanować 35
Rozdział 4 - Gdy kończą się bezpieczne tematy 44
Rozdział 5 - Prawo do własnego kroku 54
Rozdział 6 - Pierwszy pocałunek 63
Rozdział 7 - Między pamięcią a pragnieniem 72
Rozdział 8 - Nie tylko sąsiad 82
Rozdział 9 - Ryzyko, które podejmujemy razem 91
Rozdział 10 - Tam, gdzie zaczyna się bliskość 102
Rozdział 11 - Miejsce dla dwojga 113
Rozdział 12 - Granice wspomnień 124
Rozdział 13 - Cena własnych marzeń 135
Rozdział 14 - Prawda, której jeszcze nie umiemy wypowiedzieć 144
Rozdział 15 - Wszystko, czego nie powiedzieliśmy 153
Rozdział 16 - Odległość, która boli 163
Rozdział 17 - Własnym głosem 172
Rozdział 18 - To, co zostaje 180
Rozdział 19 - Nie musimy wybierać 189
Rozdział 20 - W samym środku ciszy 199

INTRO

Pierwszego ranka po przyjeździe nad Wigry obudził mnie dźwięk, którego nie potrafiłam rozpoznać. Nie był to śpiew ptaków ani szelest trzcin poruszanych wiatrem. Ktoś za ścianą mojego domu grał na skrzypcach. Melodia urywała się po kilku taktach, powracała od początku, a potem milkła, jakby muzyk za każdym razem odnajdywał w niej coś, czego pozostali nie mieli prawa usłyszeć.

Leżałam przez chwilę nieruchomo, patrząc na jasną smugę słońca przecinającą sufit. W Warszawie budziły mnie samochody, tramwaje i niecierpliwe powiadomienia telefonu. Tutaj miało być inaczej. Kupiłam ten dom właśnie dlatego, że między nim a najbliższymi zabudowaniami rosły stare sosny, a jezioro zaczynało się kilkadziesiąt kroków od tarasu. Cisza była jednym z niewielu luksusów, na które postanowiłam sobie pozwolić bez tłumaczenia komukolwiek swojej decyzji.

Wstałam, narzuciłam lnianą koszulę i otworzyłam okno. Chłodne powietrze pachniało wilgotnym drewnem, ziemią i wodą. Skrzypce odezwały się ponownie. Tym razem melodia była wolniejsza, niemal nieśmiała. Nie wiedziałam jeszcze, czy chcę odnaleźć człowieka, który zakłócał mój spokój, czy poprosić go, żeby nigdy nie przestawał grać.

Na kuchennym stole leżał mój plan na najbliższe trzy miesiące. Cztery kartki zapisane drobnym pismem, harmonogram tłumaczenia francuskiej powieści oraz lista prac koniecznych do urządzenia niewielkiej pracowni. Miałam pięćdziesiąt dwa lata, zawód, który mogłam wykonywać z każdego miejsca na świecie, i wystarczająco dużo oszczędności, żeby po raz pierwszy od dawna nie podejmować decyzji pod presją.

Chciałam stworzyć tutaj przestrzeń do pracy z tekstem, papierem i starymi książkami. Warsztaty dla ludzi, którzy potrzebowali na chwilę odłożyć telefony i przypomnieć sobie, jak przyjemne może być robienie czegoś własnymi rękami. Pomysł dojrzewał we mnie od miesięcy. Nie miał być wielkim przedsięwzięciem. Kilka spotkań, niewielkie grupy, żadnego pośpiechu. Przede wszystkim zaś żadnych wspólników, którzy uznaliby moje życie za projekt wymagający ulepszenia.

O dziewiątej przyjechała pani Helena, miejscowa bibliotekarka, która pomagała mi nawiązać kontakt z mieszkańcami. Przyniosła koszyk drożdżówek i kopertę z dokumentami dotyczącymi planowanych zajęć.

— Mam dla pani dobrą wiadomość, pani Grażyno — oznajmiła, zanim zdążyłam zaparzyć kawę. — Znalazł się ktoś, kto może pomóc z warsztatami.

— Nie szukałam nikogo do pomocy.

— Wiem. Dlatego najpierw proszę mnie wysłuchać.

Pani Helena miała ten szczególny rodzaj uprzejmej stanowczości, z którym nie potrafiłam walczyć. Usiadła przy stole i rozłożyła przede mną folder lokalnego stowarzyszenia. Rozpoznałam pieczątkę fundacji, do której zwróciłam się wcześniej w sprawie wynajęcia dodatkowej sali.

— Jest możliwość wspólnego dofinansowania zajęć. Pani pracownia i warsztat sąsiada mogłyby stworzyć coś naprawdę ciekawego. Tylko wniosek trzeba złożyć razem, do końca miesiąca.

— Sąsiada?

W odpowiedzi wskazała za okno, w stronę niewielkiego budynku stojącego za pasem sosen.

— Jerzego Witka. Lutnika. Zna się na drewnie, instrumentach, renowacji. Pracował kiedyś w Krakowie. Człowiek z charakterem, ale porządny.

Spojrzałam na budynek, z którego wcześniej dochodziła muzyka.

— To on grał dziś rano?

— Zapewne. Czasami sprawdza brzmienie instrumentów przed oddaniem klientom. Nie wszystkim się to podoba.

— Mnie nie przeszkadzało — odpowiedziałam zbyt szybko.

Pani Helena uśmiechnęła się tak, jakby usłyszała znacznie więcej, niż powiedziałam.

Nie chciałam wspólnego projektu. Przez dwadzieścia osiem lat dzieliłam z Adamem mieszkanie, podróże, rachunki, książki i niedzielne śniadania. Nawet nasze drobne sprzeczki miały znajomy rytm, który rozpoznawałam z zamkniętymi oczami. Kiedy trzy lata wcześniej zmarł, świat nie rozpadł się widowiskowo. Po prostu przestał odpowiadać na moje codzienne przyzwyczajenia.

Najtrudniejsze nie były święta ani rocznice. Najtrudniejsze okazało się kupowanie chleba, którego połowa zostawała niezjedzona.

Dom nad Wigrami miał być miejscem, w którym nie będę już żyła wyłącznie w odniesieniu do czyjejś nieobecności. Miałam tutaj odzyskać własny rytm. Nie zamierzałam jednak udawać, że przeszłość można zostawić w Warszawie razem z niepotrzebnymi meblami.

— Mogę z nim porozmawiać — powiedziałam w końcu. — Ale niczego nie obiecuję.

— Właśnie tyle chciałam usłyszeć.

Godzinę później stanęłam przed drzwiami sąsiedniego warsztatu. Były uchylone. W środku pachniało żywicą, świeżo struganym drewnem i mocną kawą. Na półkach leżały niewielkie narzędzia, drewniane formy oraz instrumenty w różnych stadiach powstawania. Przez wysokie okno wpadało światło, w którym unosił się delikatny pył.

Mężczyzna stojący przy stole odwrócił się dopiero wtedy, gdy zapukałam w drewnianą framugę.

Miał siwiejące włosy, lekko potargane, jakby od rana wielokrotnie przeczesywał je palcami. Podwinął rękawy ciemnej koszuli, odsłaniając przedramiona oprószone jasnymi trocinami. Nie wyglądał na człowieka, który szczególnie przejmował się pierwszym wrażeniem. A jednak sposób, w jaki odłożył narzędzie i skupił na mnie uwagę, sprawił, że przez moment zapomniałam przygotowanego zdania.

— Grażyna Michalska — przedstawiłam się. — Pańska nowa sąsiadka.

— Jerzy Witek. Domyśliłem się.

Jego głos był niski, nieco zachrypnięty, ale przyjemny. Nie wyciągnął od razu ręki. Najpierw wytarł dłonie w płócienną szmatkę, jakby spotkanie zasługiwało na odrobinę staranności.

— Pani Helena przysłała panią z propozycją czy skargą?

— To zależy. Czy zamierza pan codziennie grać o siódmej rano?

Spojrzał na zegarek wiszący nad stołem.

— Dzisiaj zacząłem o siódmej dwadzieścia.

— Zatem z propozycją.

Roześmiał się krótko, bez skrępowania. Ten śmiech nie pasował do skupionego mężczyzny pochylonego nad instrumentem. Był ciepły i zaskakująco młodzieńczy.

Wyjaśniłam sprawę warsztatów. Jerzy wysłuchał mnie bez przerywania, opierając się o brzeg stołu. Kiedy wspomniałam o harmonogramie i możliwości dofinansowania, jego twarz spoważniała.

— Nie jestem zainteresowany przedsięwzięciem, w którym ktoś będzie mi mówił, jak długo wolno strugać kawałek drewna — oświadczył.

— A ja nie zamierzam organizować zajęć, których uczestnicy dowiedzą się o ich terminie na podstawie pańskiego natchnienia.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

— To może być trudna współpraca — zauważył.

— Na szczęście jeszcze się na nią nie zgodziłam.

Odwróciłam wzrok ku instrumentowi leżącemu na stole. Były to niewielkie skrzypce, pozbawione strun, o pięknym, miodowym kolorze. Jerzy zauważył moje zainteresowanie i bez pytania przesunął się, żebym mogła podejść bliżej.

Na pobliskiej półce stała fotografia kobiety o jasnych włosach. Uśmiechała się do kogoś poza kadrem, trzymając w dłoniach bukiet polnych kwiatów. Obok leżała stara, granatowa apaszka. Nie zapytałam, kim była. Jerzy zauważył jednak kierunek mojego spojrzenia i na moment znieruchomiał.

Znałam ten bezwiedny gest. Sama przez wiele miesięcy odruchowo poprawiałam zdjęcie Adama stojące na komodzie, nawet gdy nie było przekrzywione.

— Ładne miejsce do pracy — powiedziałam, wracając spojrzeniem do skrzypiec.

— Najlepsze, jakie miałem.

— A jezioro?

— Było tutaj wcześniej niż ja. Staram się mu nie przeszkadzać.

Uśmiechnęłam się. Jerzy przyjrzał mi się uważniej, jakby właśnie wtedy zobaczył we mnie kogoś innego niż nową sąsiadkę z dokumentami.

— Napije się pani kawy?

Powinnam była odmówić. Na biurku czekało sto stron przekładu, a w domu fachowiec miał obejrzeć instalację elektryczną. Miałam własny plan i przez ostatnie lata nauczyłam się, jak wielką ulgę daje jego konsekwentne realizowanie.

Tymczasem Jerzy stał przede mną z dwoma ceramicznymi kubkami, cierpliwy i zupełnie nieprzejęty moim milczeniem.

— Jedną — odpowiedziałam. — Ale potem musimy porozmawiać o warunkach współpracy.

— Oczywiście. Lubię wiedzieć, na co się piszę.

Usiedliśmy przy otwartym oknie. Z jeziora dobiegł krzyk ptaka, a wiatr poruszył kartkami rozłożonymi na stole. Jerzy przytrzymał je dłonią i odsunął od mojego kubka. Był to drobny, praktyczny gest, któremu nie towarzyszyła żadna próba zrobienia wrażenia.

Po raz pierwszy od bardzo dawna poczułam ochotę, żeby opowiedzieć nieznajomemu coś, czego nie zaplanowałam powiedzieć.

I właśnie wtedy przestraszyłam się nie jego bliskości, lecz własnej gotowości, by ją przyjąć.

Jerzy spojrzał na mnie ponad brzegiem kubka.

— Pani Grażyno, czy coś się stało?

Popatrzyłam na jego spokojną twarz, na siwe włosy i dłonie, które przed chwilą tak ostrożnie przytrzymywały moje kartki. Pomyślałam o Adamie, o wszystkich naszych wspólnych latach i o tym, jak bardzo nie chciałam utracić nawet najmniejszej cząstki tego, co po nich zostało.

A jednak siedziałam naprzeciw mężczyzny, którego poznałam zaledwie kilka minut wcześniej, i pragnęłam zostać dłużej.

— Nie — odpowiedziałam cicho. — Chyba właśnie coś się zaczyna.

Nie wiedziałam, czy mnie zrozumiał. Nie byłam nawet pewna, czy sama rozumiałam te słowa.

Wiedziałam tylko, że kiedy Jerzy się uśmiechnął, nie odwróciłam wzroku.

I nagle pojawiło się pytanie, którego przez trzy lata starannie unikałam: czy mogłam pozwolić sobie pokochać kogoś nowego, nie przestając kochać człowieka, którego straciłam?

Rozdział 1 - Warunki, których nie zapisano

Następnego dnia rano znalazłam pod drzwiami kopertę. Nie było na niej nazwiska ani adresu, tylko starannie zapisane słowo „Sąsiadce". W środku leżała niewielka kartka z godziną spotkania, adresem świetlicy w pobliskiej miejscowości i dopiskiem: „Proszę przynieść swój harmonogram. Ja przyniosę cierpliwość. Jerzy".

Przeczytałam wiadomość dwukrotnie, zanim pozwoliłam sobie na uśmiech. Ostatnio mężczyzna zapraszał mnie na spotkanie w równie osobliwy sposób ponad trzydzieści lat wcześniej. Adam zostawiał mi czasem karteczki między stronami książek, które tłumaczyłam. Pisał na nich rzeczy niepoważne, zwykle dotyczące mojej skłonności do pracy po nocach. Jedną z takich kartek wciąż przechowywałam w portfelu, choć papier zdążył pożółknąć, a atrament wyblakł.

Schowałam wiadomość Jerzego do kieszeni i wyszłam na taras. Jezioro było gładkie, srebrzyste, niemal nieruchome. Z daleka dochodził stłumiony odgłos silnika łodzi. Miałam przed sobą dwie godziny pracy nad przekładem, ale myśli uparcie wracały do wczorajszej rozmowy. Nie do samej propozycji warsztatów. Raczej do sposobu, w jaki Jerzy słuchał, nie spiesząc się z odpowiedzią i nie próbując wypełniać każdej przerwy własnym głosem.

Nie pamiętałam, kiedy ostatnio cisza w obecności drugiego człowieka wydawała mi się tak naturalna.

Spotkanie zaplanowano na jedenastą. Przyjechałam kilka minut wcześniej, zgodnie ze starym przyzwyczajeniem. Świetlica mieściła się w odnowionym budynku z czerwonej

cegły. Przed wejściem stały donice z lawendą, a na tablicy ogłoszeń wisiały plakaty dotyczące zajęć ceramicznych i spotkań lokalnego koła fotograficznego.

Jerzy siedział już przy długim stole, pochylony nad szkicem. Kiedy weszłam, podniósł głowę i spojrzał na zegarek.

— Jest pani punktualna.

— A pan najwyraźniej nie zamierzał ryzykować spóźnienia.

— Chciałem przygotować argumenty, zanim zostanę przesłuchany.

Położyłam przed nim teczkę.

— Przygotowałam również pytania.

— Tego się obawiałem.

Miał na sobie jasną koszulę z podwiniętymi rękawami i ciemne spodnie. W świetle wpadającym przez wysokie okna jego twarz wydawała się bardziej zmęczona niż poprzedniego dnia. Zauważyłam drobne zmarszczki wokół oczu i charakterystyczny sposób marszczenia czoła, kiedy skupiał uwagę. Nie był przystojny w oczywisty, reklamowy sposób. Miał jednak w sobie coś, co sprawiało, że chciałam przyglądać mu się dłużej.

Przyszła pani Helena, a wraz z nią młoda kobieta przedstawiająca się jako Marta, koordynatorka lokalnych projektów kulturalnych. Rozłożyła na stole dokumenty i wyjaśniła zasady dofinansowania. Stowarzyszenie mogło uzyskać środki na cykl sześciu spotkań poświęconych tradycyjnym technikom rzemieślniczym. Warunkiem było połączenie przynajmniej dwóch dziedzin oraz udostępnienie zajęć mieszkańcom regionu i niewielkiej grupie gości.

— Pani Grażyna zajmuje się książkami i pracą z tekstem, pan Jerzy instrumentami — powiedziała Marta. — Pomyśleliśmy o warsztatach, które połączą papier, drewno i muzykę.

— Książki nie są wyłącznie pracą z tekstem — sprostowałam łagodnie. — Chciałabym pokazać również tradycyjne sposoby oprawy, szycie zeszytów, dobieranie materiałów. Uczestnicy powinni wyjść z czymś, co naprawdę wykonali.

— Zgadzam się — odezwał się Jerzy. — Ale nie zamierzam pozwalać przypadkowym osobom używać narzędzi, których obsługi nie rozumieją. Możemy przygotować bezpieczne elementy do obróbki, a trudniejsze czynności pokazać sami.

Spojrzałam na niego z uznaniem. Nie spodziewałam się, że tak szybko znajdziemy wspólny punkt. Potem jednak Marta przeszła do harmonogramu.

— Proponujemy dwa spotkania w tygodniu, najlepiej po cztery godziny. Możemy zacząć w połowie przyszłego miesiąca.

— To za wcześnie — powiedziałam.

— To za późno — stwierdził równocześnie Jerzy.

Pani Helena westchnęła, a Marta spojrzała na nas z niepewnym uśmiechem.

— Rozumiem, że są państwo na różnych etapach przygotowań.

Wyciągnęłam swój plan. Zaznaczyłam w nim terminy oddania przekładu, prace remontowe i okres potrzebny na urządzenie pracowni. Jerzy przez chwilę przyglądał się kartkom, po czym przesunął w moją stronę własny szkic.

Przedstawiał niewielki drewniany przedmiot przypominający ramę, na której można było napinać nici. Pod rysunkiem widniały notatki dotyczące wymiarów i materiałów.

— Chciałbym, żeby ludzie pracowali na prawdziwych przedmiotach — wyjaśnił. — Nie na gotowych zestawach, w których jedynym zadaniem jest przeczytanie instrukcji. Przygotowanie stanowisk zajmie mi przynajmniej trzy tygodnie, a później potrzebuję czasu na próby.

— Czyli w zasadzie zgadza się pan ze mną.

— Niezupełnie. Chciałbym rozpocząć pierwsze zajęcia jeszcze przed zakończeniem wszystkich prac u pani.

— Nie zamierzam zapraszać ludzi do pomieszczenia, w którym wystają przewody ze ścian.

— Możemy wykorzystać świetlicę.

— A moja pracownia?

— Będzie gotowa wtedy, kiedy będzie gotowa.

W jego głosie nie było złośliwości. Właśnie to najbardziej mnie irytowało. Jerzy wypowiadał swoje opinie spokojnie, jakby nie dostrzegał, że burzy konstrukcję, nad którą spędziłam wiele wieczorów.

— Panie Jerzy, nie chodzi wyłącznie o pomieszczenie. Przygotowałam określoną koncepcję. Nie chcę jej zmieniać tylko dlatego, że pojawiła się możliwość otrzymania pieniędzy.

— Ja również nie chcę, żeby pieniądze decydowały o jakości tego, co robimy.

Marta zaproponowała przerwę. Pani Helena wyszła zadzwonić do kogoś z urzędu, a my zostaliśmy sami.

Jerzy zamknął notes.

— Zdenerwowałem panią.

— Zauważył pan.

— Nie było to moim zamiarem.

— A jaki był?

— Chciałem sprawdzić, czy potrafimy razem pracować, nie udając, że mamy identyczne pomysły.

Oparłam dłonie na stole.

— Mogliśmy sprawdzić to w sposób mniej publiczny.

— Racja. Przepraszam.

Prostota tej odpowiedzi odebrała mi ochotę do dalszego sporu. Jerzy nie tłumaczył się ani nie próbował przekonać mnie, że przesadzam. Przyjął uwagę, a potem cierpliwie czekał.

— Proszę mi powiedzieć jedno — odezwałam się po chwili. — Dlaczego właściwie zależy panu na tych warsztatach?

Odchylił się na krześle. Przez moment wyglądał, jakby rozważał kilka odpowiedzi i żadna nie wydawała mu się odpowiednia.

— Od lat naprawiam instrumenty, które ktoś inny stworzył. Lubię swoją pracę, ale coraz częściej przychodzą do mnie ludzie, którzy chcą jedynie szybko odzyskać sprawny przedmiot. Nie wiedzą, ile czasu potrzeba, żeby drewno zaczęło właściwie brzmieć. Chciałbym pokazać im proces, nie tylko rezultat.

— Brzmi rozsądnie.

— Jest jeszcze coś. Obiecałem kiedyś, że będę uczył. Odkładałem to tak długo, aż obietnica zaczęła przypominać wyrzut sumienia.

Nie zapytałam, komu ją złożył. Zauważyłam jednak, że odwrócił spojrzenie w stronę okna. Jego twarz nabrała tego samego wyrazu, który widziałam poprzedniego dnia przy fotografii kobiety w warsztacie.

— Nie musi pan opowiadać — powiedziałam.

Spojrzał na mnie z czymś na kształt wdzięczności.

— A pani? Dlaczego właśnie tutaj?

Mogłam odpowiedzieć o spokojnej okolicy, niższych kosztach życia albo zawodowej niezależności. Wszystko byłoby prawdą, ale nie wyjaśniałoby niczego istotnego.

— Przez ostatnie trzy lata wiele osób mówiło mi, co powinnam zrobić ze swoim życiem — odparłam. — Jedni radzili, żebym wróciła do pracy na pełnych obrotach. Inni, żebym podróżowała. Jeszcze inni proponowali, żebym sprzedała mieszkanie i zamieszkała bliżej rodziny. Nikt nie zapytał, czego właściwie chcę.

Jerzy nie przerywał.

— Kiedy znalazłam ten dom, pomyślałam, że mogłabym tutaj spróbować. Nie zaczynać wszystkiego od początku, bo to niemożliwe. Po prostu zrobić coś własnego.

— I dlatego nie chce pani wspólnika.

— Właśnie.

— Rozumiem.

Poczułam nieoczekiwane rozczarowanie. Jakby jego zrozumienie oznaczało koniec rozmowy, a ja wcale nie chciałam jej kończyć.

— Ale? — zapytałam.

— Ale współpraca nie musi oznaczać oddawania komuś swojego życia.

Powiedział to bez uśmiechu. Było w tym zdaniu coś osobistego, coś, czego nie umiałam jeszcze nazwać.

Marta wróciła z dokumentami. Przedstawiła możliwość zorganizowania pierwszych zajęć próbnych w świetlicy, a kolejnych w naszych pracowniach, jeśli oboje wyrazimy zgodę. Dofinansowanie obejmowałoby materiały, ubezpieczenie uczestników i wynagrodzenie prowadzących. Pozostawała kwestia terminu.

— Moglibyśmy zacząć od jednego spotkania pokazowego — zaproponowałam. — Bez deklarowania od razu całego cyklu. Sprawdzimy zainteresowanie i możliwości.

Jerzy skinął głową.

— Pod warunkiem że przygotujemy je razem. Nie chcę być człowiekiem od pokazania kilku narzędzi na końcu pani wykładu.

— A ja nie zamierzam rozdawać uczestnikom kartek, żeby mieli na czym zapisać nazwy pańskich dłut.

Po raz pierwszy uśmiechnęliśmy się do siebie w obecności pozostałych.

— Wobec tego mamy punkt wyjścia — stwierdziła Marta.

Uzgodniliśmy, że w ciągu dwóch dni przygotujemy wspólną propozycję. Wybraliśmy termin spotkania pokazowego na ostatnią sobotę miesiąca. Ostateczna decyzja o całym cyklu miała zapaść dopiero po sprawdzeniu kosztów i warunków.

Kiedy wyszliśmy ze świetlicy, słońce stało już wysoko. Jerzy zatrzymał się przy moim samochodzie, trzymając pod pachą notes.

— Naprawdę uważa pani, że moje zajęcia mogłyby sprowadzać się do pokazywania dłut?

— Nie. Ale podejrzewam, że pan uważa moje książki za elegancko zszyte kartki.

— W żadnym wypadku. Zdarzyło mi się kiedyś próbować naprawić stary grzbiet. Rezultat wyglądał tak, jakby książka przegrała walkę z jeżem.

Roześmiałam się. Jerzy patrzył na mnie przez chwilę z wyraźną przyjemnością, po czym spoważniał.

— Chciałbym pani coś pokazać. Nie dzisiaj, jeśli ma pani inne plany. Jutro, w warsztacie. Może wtedy łatwiej będzie nam ustalić, co możemy zrobić wspólnie.

— Jutro o dziesiątej mam spotkanie z elektrykiem.

— O jedenastej?

— O jedenastej trzydzieści.

— Twarda negocjatorka.

— Zawodowe skrzywienie.

Wyciągnął rękę. Uścisnęłam ją, spodziewając się zwykłego pożegnania. Jego dłoń była ciepła, szorstka od pracy, a uścisk zdecydowany, lecz delikatny. Zatrzymał moje palce odrobinę dłużej, niż wymagała uprzejmość, po czym je puścił.

— Do jutra, pani Grażyno.

— Do jutra, panie Jerzy.

W drodze do domu próbowałam przekonać samą siebie, że rozmyślam wyłącznie o wspólnym przedsięwzięciu. Nie było to szczególnie skuteczne.

Po południu zadzwoniła moja przyjaciółka, Elżbieta. Znałyśmy się od studiów i należała do niewielkiej grupy osób, które potrafiły rozpoznać mój nastrój po sposobie, w jaki mówiłam „halo".

— Co się wydarzyło? — zapytała niemal natychmiast.

— Nic szczególnego.

— Grażyna, przez trzy lata słyszałam od ciebie „wszystko w porządku" takim tonem, jakbyś sporządzała protokół szkody. Dzisiaj brzmisz inaczej.

Opowiedziałam jej o planowanych warsztatach, sporze o harmonogram i sąsiedzie, który najwyraźniej nie uznawał moich tabel za najwyższą formę ludzkiej cywilizacji.

— A jaki jest? — zapytała Elżbieta.

— Uparty. Spokojny. Ma pięćdziesiąt sześć lat, pracuje jako lutnik i uważa, że większość spraw można rozwiązać cierpliwością.

— Nie pytałam o życiorys.

Podeszłam do okna. Przez gałęzie sosen widziałam dach jego pracowni.

— Ma dobry głos — przyznałam. — I sposób patrzenia, który trochę mnie peszy.

Elżbieta przez chwilę milczała.

— Wiesz, że możesz po prostu uznać kogoś za atrakcyjnego?

— Wiem.

— Nie brzmisz przekonująco.

Oparłam czoło o chłodną szybę.

— Czasami mam wrażenie, że gdybym naprawdę zaczęła znowu żyć, musiałabym zostawić Adama za sobą.

— A chcesz go zostawić?

— Nie.

— To nie zostawiaj.

Jej odpowiedź była tak prosta, że przez moment poczułam złość. Potem zrozumiałam, że nie próbuje rozwiązać za mnie żadnego problemu. Przypomina mi tylko, że nie każda zmiana musi oznaczać zdradę tego, co było.

Wieczorem usiadłam do pracy. Tłumaczona powieść opowiadała o kobiecie, która wracała do rodzinnego domu po latach nieobecności. Zatrzymałam się nad zdaniem opisującym pokój pełen przedmiotów pozostawionych przez nieżyjącą matkę. Autor napisał, że wspomnienia nie zajmują miejsca, dopóki człowiek nie zaczyna wokół nich budować ścian.

Przetłumaczyłam je, potem usunęłam i napisałam ponownie. Przez długi czas patrzyłam na ekran, nie znajdując właściwego słowa.

W końcu zamknęłam komputer.

Na komodzie stało zdjęcie Adama, które przywiozłam z Warszawy. Był na nim uśmiechnięty, z lekko zmrużonymi oczami, w swojej ulubionej granatowej koszuli. Przesunęłam palcem po krawędzi ramki.

— Nie wiem, co robię — szepnęłam.

Nie oczekiwałam odpowiedzi. Od dawna nauczyłam się, że nie przyjdzie.

Później wyszłam na taras. Nad jeziorem zapadał zmierzch, a powietrze pachniało żywicą i wilgotnymi liśćmi. Z sąsiedniej pracowni dochodziło ciche stukanie. Jerzy najwyraźniej nadal pracował.

Przez chwilę chciałam podejść, zapytać, czy potrzebuje pomocy, albo po prostu posłuchać jego opowieści o drewnie i instrumentach. Zatrzymałam się jednak przy schodach.

Miałam pięćdziesiąt dwa lata i własny dom. Nie musiałam już udowadniać, że jestem rozsądna, ani traktować każdej spontanicznej decyzji jak zagrożenia.

Mimo to wróciłam do środka.

Nazajutrz mieliśmy ustalić zasady współpracy. Powtarzałam sobie, że tylko to nas łączy.

Kiedy jednak kładłam się spać, nie myślałam o warsztatach ani o terminach. Pamiętałam sposób, w jaki Jerzy spojrzał na mnie po naszym pierwszym prawdziwym sporze. Bez urazy, bez potrzeby zwycięstwa, jakby różnica zdań była początkiem rozmowy, a nie powodem, żeby odwrócić się plecami.

Nie wiedziałam jeszcze, czy potrafię dopuścić kogoś takiego do swojego życia.

Wiedziałam natomiast, że następnego dnia zamierzam sprawdzić, czy równie dobrze umie słuchać, jak się sprzeczać.